

OSTATNIE DNI W OBOZIE

Pragnę przedstawić zakończenie wojny i wyzwolenie obozu. Być może nie wszystkie szczegóły pamiętam, ale na pewno ewakuacja obozu nastąpiła 8-go maja 1945 roku. Kiedy podszedł do mnie kolega Stanisław Sochaj z Radomia i wspólnie składaliśmy sobie życzenia imienninowe, było to podczas marszu już poza bramą. Wiedzieliśmy, że wojna już się skończyła, życzyliśmy sobie tylko szczęśliwego odzyskania wolności. Podczas marszu nie pamiętam, aby ktoś został zastrzelony, były próby ucieczki, widziałem jak pewien więzień - Niemiec wyszedł z kolumny do rowu i SS-man Węgier w starszym wieku udał, że go nie widzi, a więzień pozostał wolny poza kordonem. Następnie widziałem, jak uciekało dwóch Polaków, byli już około 100 metrów od kolumny. Nastąpiła strzelanina z erkaemu w ich stronę, zatrzymali się i wrócili do maszerujących. Poza spoliczkowaniem przez SS-mana nic się im więcej nie stało. Doszliśmy do Rajchenbergu, obstawiono nas karabinami na polanie między zabudowaniami i doliną jakiejś rzeczki. Podano nam do wiadomości że w razie ucieczki będą nas dziesiątkować. Pamiętam, jak dyrektor fabryki z Reichenau zdenerwowany biegał do miasta i z powrotem. Wynikało z tego, że nie mógł się połączyć i dowiedzieć co z nami zrobić. Po około dwóch godzinach zarządzono powrót do obozu. Podczas powrotu widać było coraz mniej SS-manów. Po przyjeździe do obozu nie widać było wartowników na wieżach strażniczych, a po jakiejś pół godzinie przyszedł do obozu "Feldfebel" Słowak i zarządził zbiórkę na placu apelowym. Stanął na taborecie przebrany już w ubranie cywilne i oznajmił nam, że jesteśmy już wolni, że służba wartownicza opuściła już Reichenau i udała się na zachód. On jako ostatni opuszcza Reichenau i udaje się do domu do żony. Ostrzegał nas, żeby jeszcze nie wychodzić z obozu, gdyż są jeszcze w Reichenau Niemcy. Było to 8-go maja około godziny 4-tej po południu.

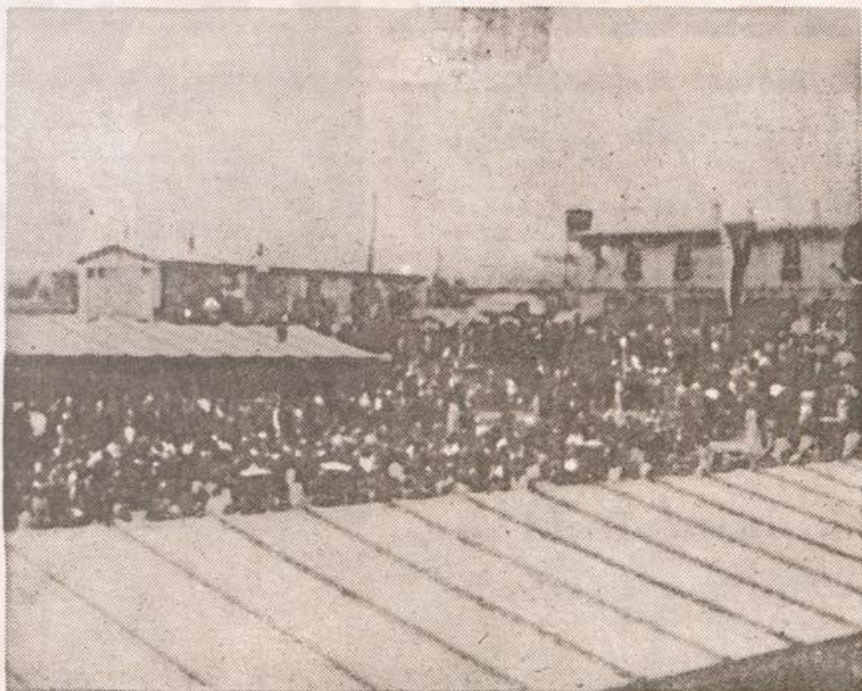
Pod koniec wojny ja pracowałem jako hydraulik z kolegą Stachurskim Bronisławem z Warszawy. Robiliśmy łaźnię dla SS-manów oraz naprawy i konserwacje w bloku SS-manów - na terenie obozu i często w baraku na kuchni cywilnej obozowej. Pakamerę mieliśmy w tym baraku, gdzie było wejście do stołówki cywilnej. Chodziliśmy tam pod byle pozorem sprawdzać instalację w kuchni. Czasem udało się zdobyć trochę "zlewek". Był to dla nas duży zastrzyk prowiantowy. Znałem całe pomieszczenie kuchni i zaplecza. Chodziliśmy w obrębie "posten kiety" bez dozoru SS-mana. W kuchni widziałem, jak zawsze w jednym miejscu leżało białe pieczywo i kiełbasa, która ęniła mi się po nocach. Podczas pracy w baraku kuchni, wiedząc, że wojna lada dzień się skończy, gdyż mieliśmy kontakt z cywilami Czechami, marzeniem moim było, żeby w pierwszym rządzie się najeść. W tym celu zostawiłem okno tak zamknięte, ażeby od strony zewnętrznej można było go otworzyć. Właśnie w dniu 8 maja już podczas szarówki wziąłem ze sobą kolegę Rojkiewicza Władysława, który pochodził z okolic Tarnowa i wyszliśmy z obozu. Wytłumaczyłem mu o co chodzi i w razie czego żeby wiedział, co się ze mną stało. Podeszliśmy do baraku kuchni od tyłu, on został w pewnej odległości, a ja podszedłem pod okno, o którym wiedziałem, że jest

otwarte. Okazało się, że nie takie to proste. Pod tym oknem niżej było okno do piwnicy, ponieważ barak stał na zboczu góry. Okno do piwnicy było obmurowane cegłą około 2 m od baraku i 1,5 m poniżej okna kuchni. Podszedłem po tym murku, złapałem się deski w rodzaju parapetu i żeby otworzyć okno trzeba było sięgnąć do tego miejsca, w którym stałem na murku około 1 m w bok. Trzymając się deski prawą ręką, lewą pchnąłem okno. Udało mi się okno uchylić, chwilę odczekałem, odepchnąłem okno dalej i rozpocząłem wdrapywanie się do środka. W kuchni rozpocząłem plądrowanie po ciemku "na macanego". Gdzie zwykle leżała kiełbasa - znalazłem tylko jedną bułkę dużą w rodzaju naszej paryskiej i napoczętą kostkę margaryny. Włożyłem to za koszulę, wdrapałem się powtórnie na okno, zeskok już był łatwiejszy. Mój kolega najadł się więcej strachu niż ja. Przyszliśmy na teren obozu i zjedliśmy tę bułkę grubo smarowaną margaryną.

Następnego dnia rano, tj. 9-go maja, przyszli do nas Rosjanie i Rosjanki z obozu wolnościowego z harmonią. Trochę nam pograli, niektórzy z kolegów próbowali potaćzyć. Później w następane dni przyszli Czesi, zorganizowali wydawanie zaświadczeń w języku polskim i czeskim. Po otrzymaniu zaświadczeń, ja z kolegą Rajkiewiczem wyszliśmy na miasto, tam włączyliśmy się do powstańców czeskich i rozbrajaliśmy Niemców wracających z bronią. Szły również całe oddziały już wcześniej rozbrojone, patrzyliśmy na nich z politowaniem i z zadowoleniem, za nasze cierpienie.

Podczas pracy w garażach samochodowych w Reichenau bliżej się zaprzyjaźniłem z SS-manem inwalidą wojennym, rannym na froncie wschodnim, który pracował jako kierowca na samochodzie ciężarowym marki "FOMAG", a ja mu ten samochód obsługiwałem. Zostawił mi swój adres, gdyż przez niego wysyłałem listy poza cenzurą i dużo nam pomagał w przetrwaniu. Nazywał się Joset Bejer, mieszkał w Libenau. Informował mnie o sytuacji na froncie i prosił, żeby po zakończeniu wojny odwiedzić go w domu. Dnia 10 maja rano wziąłem ze sobą kolegę Rajkiewicza i poszliśmy do Libenau. W Libenau zastałem mojego znajomego Niemca zamiatającego rynek. Wskazał mi przełożonego Czecha, któremu podlegali jako Niemcy w pracach porządkowych. Zwróciłem się do niego i oznajmiłem mu, że ten Niemiec, co zamiata, to bardzo porządny człowiek, że ratował nam życie w obozie sam się narażając i ten Czech zwolnił go w tym dniu z pracy. Zaprowadził nas do domu, zapoznał z żoną i poczęstował śniadaniem. Po śniadaniu powiedział żeby o godz. 2-giej przyjść na obiad. Wyszliśmy na miasto i poszliśmy na komendanturę Czeską w Libercu, aby dali nam jakieś ubranie. Zaprowadzono nas do jakiegoś magazynu, gdzie można było sobie coś wybrać z rzeczy używanych. Tam przebraliśmy się w cywilne ubrania, ale pasiaki też wzięliśmy ze sobą. Na komendanturze opowiedziałem komendantowi, że mam tu takiego Niemca, co nam dużo pomagał w "Koncentraku" w Reichenau i prosiłem go, żeby nie robiono mu krzywdy. Komendant kazał mi przyjść z nim. Gdy przyszliśmy wypisano mu oświadczenie, że pomagał nam więźniom obozu koncentracyjnego, które podpisałem ja i mój kolega, a komendant potwierdził. Podczas rozmowy z naszym znajomym Niemcem nieśmiało przyznał mi, że rodzina jego nie przejawia zadowolenia z naszej wizyty. Na komendanturze powiedziano nam, że 12 maja o 8-ej rano zorganizowany jest furmankami konnymi transport z Liberca do Jablonca, celem przewiezienia ludzi do pociągu w kierunku Brna. Przenocowaliśmy jeszcze jedną noc u naszego znajomego Niemca i rano wyszliśmy przed komendanturę, skąd odjeżdżały wozy konne załadowane ludźmi. Była to odległość około 12 km. W Jabloncu na peronie dworca spotkaliśmy naszych kolegów z Reichenau, między innymi

Janka Ideca z Krakowa, z którym razem pracowałem w garażach przy samochodach. Rozpoczęliśmy powrót do Polski pociągiem krótkimi odciinkami, częściowo pieszo, gdyż były pozrywane tory w tunelach. Dojechaliśmy pociągiem na dachu wagonu towarowego do Dziedzic - stacji przygranicznej w Pałsce. Na terenie Czechosłowacji dało się zauważyć zorganizowaną przez czerwony krzyż pomoc dla powracających z obozów koncentracyjnych, w postaci kubka białej kawy i kromki chleba, na peronach podczas postoju pociągu, podawane przez okno. Tego już nie dało się zauważyć po przekroczeniu granicy w Polsce. Z Dziedzic dojechaliśmy do Krakowa. W Krakowie rozstałem się z kolegami, gdyż oni byli z okolic Krakowa, natomiast w kierunku Warszawy jechałem sam. Pociąg był następnego dnia rano, jechał z Krakowa do Warszawy równo 24 godziny. Przyjechałem na dworzec Warszawa-Zachodnia 20 maja. Pozostało mi jeszcze około 25 km do Wieliszewa, gdzie zamieszkiwałem z rodzicami. W Al. Jerozolimskich spotkałem znajomego rodaka z Wieliszewa, Józefa Bałdowskiego, który mi wszystko opowiedział o rodzinnej wsi. Poinformował mnie, że z ul. Ratuszowej chodzi autobus wojskowy do Legionowa. Przyjechałem do Legionowa, ale do Wieliszewa trzeba było jeszcze przejść 6 km. pieszo. I tak dotarłem 20-go maja 1945 r. do Wieliszewa. Z domu rodzinnego leżała duża kupa gruzów, rodzice i troje młodszego rodzeństwa mieszkali w poprętowej ziemiance. Czekaliśmy na starszego brata, który dzielił mój los w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen, niestety na próżno. Został tam zamordowany prawdopodobnie podczas "marszu śmierci".



Rychnov - 9 maja 1946 roku - manifestacja ludności na terenie obozu w pierwszą rocznicę wyzwolenia Czechosłowacji i zakończenia wojny. Ogólny widok obozu. Z prawej budynek fabryczny. Na skraju widoczna wieżyczka obserwacyjna. Na niższym poziomie placu widoczne baraki

Nr archiwum 3.9.1.3

PROTOKÓŁ POBRANIA ZIEMI Z TWIERDZY b. KOMAND GROSS/ROSEN.

w dniu 4. V. 1969. godz. 10.30 podczas pobytu delegacji polskich b. więźniów politycznych hitlerowskiego obozu kogoźnica - Gross - Rosen, poprzedzona minutą ciszy pobrana została do urny siana z miejsca kaźni więźniów filii tego obozu w *Rychnów...* & SRS.

Ziemia ta zostanie złożona we wspólnej urnie komand Gross-Rosen w Mauzoleum Walki i Męczeństwa w Alei Szucha w Warszawie, jako wyraz wiecznej pamięci dla ofiar zbrodni hitlerowskich, dokonanych na terenie tego komanda.

W uroczystości pobrania prochów ziemi uczestniczyli ze strony polskiej następujący członkowie Klubu b. Więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Okręgu Warszawskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację:

1. Zenon Karpiński
2. Leon Lipiński
3. Czesław Jastrzębski
4. Ignacy Miętus
5. Mieczysław Holdawa
6. Stefan Pała
7. Stefan Stasiński



Rychnów dnia 4. V. 1969.
(Zachowanie)

Prochy ziemi z Komando Reichenau więźniowie przewieźli do urny w Muzeum Walki i Męczeństwa w Alei Szucha w Warszawie i do urny w Mauzoleum na Pawiaku.

Fotokopia protokołu z dnia 4 maja 1969 roku

Nr archiwum 3.9.2.1